

DŁUGI TEKST O ZABIJANIU

Fot. Andrzej Jermaczek

Prawo do zabijania to jedno z kluczowych zagadnień etycznych. Powraca jak bumerang na różnych forach, sztandarach i transparentach, od kwestii dopuszczalności kary śmierci i aborcji w odniesieniu do ludzi, przez teorię i praktykę praw zwierząt, problemów ich uboju, uprzemysłowienia tego procesu, aż po stosunek etyki do tradycji i ekonomii. Ciągłe i nieprzerwanie wracają dyskusje wokół łowiectwa, w ubiegłym roku zaliczyliśmy też szumnie zapowiadzianą „piątkę dla zwierząt”, która sprawnie i szybko przekształciła się w „zero”. Jak każde z trudnych zagadnień stosunek do zabijania budzi niemałe emocje, dając pożywkę dla wszelkich radykalizmów po obu stronach barykady. Jako jeden z zasadniczych aspektów naszego stosunku do otaczającego świata, kwestia ta mniej lub bardziej dotyczy także ochrony przyrody, choćby dlatego, że stanowi jedną z linii podziału w grupie ludzi, którzy z różnych perspektyw i motywacji się nią zajmują.

W naturze zabijanie jest powszechne. Bardzo niewielki procent zwierząt dożywa starości, jeszcze mniejszy z tej starości umiera. Większość jest zagryzana, rozszarpywana lub najzwyczajniej w świecie zjadana żywcem. I choćbyśmy bardzo chcieli, nie da się tego w żaden sposób zatrzymać. Zwierzęta drapieżne nie mają w sobie za grosz empatii dla swoich ofiar, najlepiej dla nich, jeśli są bardzo głodne i robią „to” szybko. Wie o tym każdy, kto widział „zabawy” najedzonego kota ze złapaną myszą. Każdy dziki drapieżnik musi nauczyć zabijać swoje młode, przynosząc im półżywe ofiary. Korzyść dla następnych ofiar jest z tego taka, że będą zabijane sprawniej.

Z zabijaniem ma do czynienia każdy, czy sobie tego życzy czy nie. Także każdy kto zajmuje się przyrodą i jej ochroną. Znaczna część entomologów, łapie „na światło” czy w inny sposób, setki owadów, potem je uśmierca, potem przebiera, wybierając grupy i gatunki warte zainteresowania. Ale znam też takich, którzy z zasady nie zabijają, oznaczają to co

się da na miejscu, coś tam fotografują, zbierają martwe okazy. Sam też tak staram się robić. Ale czy „przyżyciowy” entomolog, a także bazujący na obserwacjach wizualnych ornitolog czy herpetolog, a nawet botanik, naprawdę nie zabijają? Przejście kilometra po lesie, łące czy bagnie albo zrobienie kilkunastu zdjęć fitosocjologicznych, to kilkaset rozdeptanych ślimaków, larw owadów i innych bezkręgowców, które nie zdołały uciec spod naszego buta. Przejechanie samochodem paru kilometrów po leśnych drogach, daje podobny efekt, dochodzą jeszcze drobne kręgowce, najczęściej płazy. W okresie letniej dyspersji młodych, na kilkuset metrach trasy mogą być ich tysiące. Jeśli zapisujemy w planie ochrony rezerwatu działanie w formie koszenia podmokłej łąki, konieczne np. dla ochrony storczyków, to wydajemy wyrok na setki żyjących tam zwierząt, które zginą poszatowane nożami kosiarki lub żyłką wykaszarki. Możemy „uratować” ptaki, opóźniając termin koszenia, bo o nich akurat wiemy. A co z resztą?

Najlepszą i stosowaną od dawna metodą poradzenia sobie z takimi problemem jest zamknięcie oczu lub odwrócenie głowy. To nie my, ale nasz but lub samochód, albo operator kosiarki. Odwracanie wzroku od różnych

*Samica kosa ze zdobyczą.
Fot. Tomasz Krzyśków*





Taką kolekcję ma każdy, no, prawie każdy, entomolog. Fot. Rafał Ruta

nieprzyjemnych widoków, to coraz głębiej zakorzeniony sposób bycia współczesnego człowieka. Bardzo miło jest żyć z przeświadczeniem, że otaczają nas same pluszowe misie, a świat wygląda jak znany z kreskówek lub religijnych obrazków raj, w którym szczęśliwy lew hasa po łące z owieczką i sarenką, a mięso samo rośnie na estetycznych tackach w sklepowych chłodziarkach. Tyle, że świat taki nie jest. Nigdy nie był i nie będzie!

W zamierzczłych już i słusznie minionych czasach mojego dzieciństwa powszechnie na wsiach funkcjonował tzw. ubój gospodarczy, który wielokrotnie widziałem, czasem z bliska. Mimo, że byłem dzieckiem wrażliwym i rzeczywiście była to dla mnie trauma, w zasadzie nikt nie próbował mnie przed tym widokiem chronić, wychodząc z założenia, że skoro mięso jemy, to musimy się dowiedzieć, że ono nie bierze się znikąd. Podobnie było z chorobą i umieraniem bliskich. Dziś jest inaczej. Zabieranie dzieci na polowania jest

złe, nie mówiąc już o konfrontowaniu ich z ubojem. I ja się generalnie z tym zgadzam. Jednak równocześnie budzi się we mnie wątpliwość. Czy naprawdę, jeśli uchronimy nasze dzieci nie tylko przed widokiem, ale też wiedzą o tym, że istnieje śmierć i zabijanie, jeśli mięso, które jemy będzie „produkowane” w dalekich „zakładach przetwórstwa mięsnego”, bo rzeźnia to bardzo brzydkie słowo, a nasi bliscy będą umierać w odległych szpitalach i domach pomocy społecznej, to my i nasze dzieci będziemy szczęśliwsi?

Wszelkie spory wokół zabijania jak w soczewce ogniskują się w dyskusjach o myślistwie. Z całym szacunkiem dla wszystkich jego przeciwników, mam nieodparte wrażenie, że w walce z „cynglarzami” w niewielkim tylko stopniu chodzi o samo zabijanie i cierpienie zwierząt. Bo czymże ono jest wobec cierpienia zwierząt hodowlanych? Nie chcę epatować

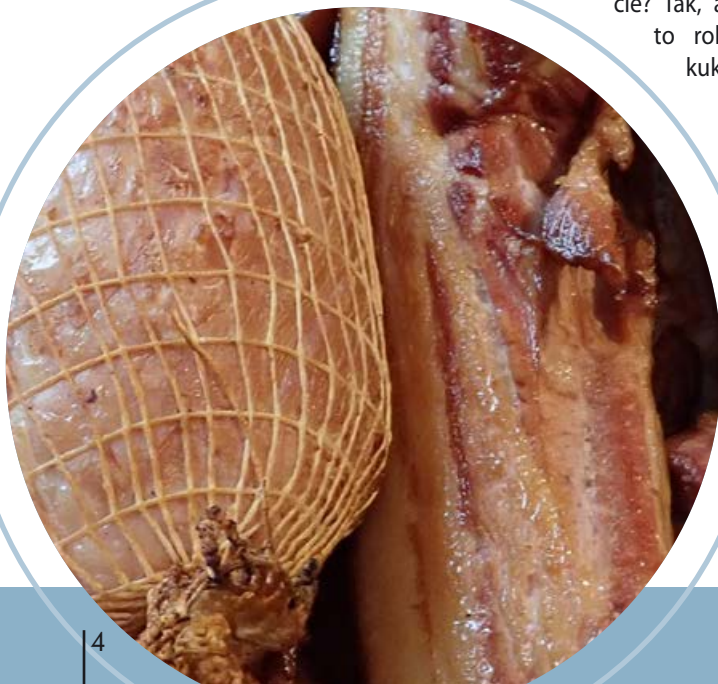
opisami uboju przemysłowego, z którym na co dzień się nie stykamy, bo odbywa się za zamkniętymi drzwiami „zakładów mięsnych” czy jeszcze bardziej zabarykadowanych ferm nerek. Zresztą skali cierpienia jednostek nie da się licytować. Ale nawet jeśli porównamy tylko aspekt ilościowy, to czym jest kilkadziesiąt tysięcy dzikich ptaków zastrzelonych przez myśliwych, wobec 1,5 miliarda (!) uśmiercanych corocznie w Polsce ptaków hodowlanych? Jak się ma 200 tys. zastrzelonych dzików, wcześniej pędzących szczęśliwe życie, wobec kilkunastu milionów trafiających do uboju, a wcześniej torturowanych w chlewniach świń? Oczywiście, ludzie muszą coś jeść, więc hodowla i ubój to „wyższa konieczność”, a tu dzikie zwierzę zabijane jest „dla zabawy”. Ale czy na pewno? Nie słyszałem, żeby upolowane mięso ktoś wyrzucał, albo zostawił lisom. Jest także zjadane przez ludzi.

Przez kilka tysięcy pokoleń ewolucji człowieka dobór naturalny preferował osobniki,

które potrafiły sprawnie i szybko zabijać. Zarówno ludzkich wrogów, jak i zwierzęta. Od ich umiejętności zależało przeżycie grupy, a więc i przekazanie genów kolejnym pokoleniom. Siła fizyczna i umiejętność zabijania przez tysiąclecia były niezbędnym warunkiem przetrwania jednostki i grupy, do której należała. Szybko doprowadziło to do ukształtowania się stosunków społecznych, w których koalicje samców dyktowały warunki reszcie społeczności. Odcisnęło to ślad nie tylko w naturze człowieka, ale i w utrwalonych wzorcach kulturowych. Dziś słusznie próbujemy to zmienić. Równouprawnienie kobiet i uniezależnienie sukcesu rodzicznego od masy mięśni i umiejętności zabijania, doprowadzą w końcu do wytworzenia nowych, lepszych stosunków społecznych, jakiegoś Nowego Wspaniałego Świata. Ale w tym świecie, jak byśmy tego nie pragnęli, nie da się uciec od zabijania, także zabijania dzikich zwierząt.

Nie chodzicie w kapelusiku z piórkiem i nigdy nie zabiliście sarenki?. Jesteście wegetarianami? Nie jecie mięsa więc nie zabijacie? Tak, ale w waszym imieniu robi to rolnik produkujący pszenicę, kukurydzę i soję. Robiąc stan-

*Ciągle znacznie ponad 90% dorosłych Polaków regularnie jada mięso, jednak z koniecznym do jego otrzymania zabijaniem do czynienia mają już tylko nieliczni.
Fot. Robert Stańko*



dardowy oprysk, na każdym hektarze pola zabija tysiące zwierząt, nie tylko owadów. W męczarniach giną zatrute herbicydami i insektycydami ptaki, małe puchate myszki i zajączki. Zwykła orka nowoczesnym agregatem uprawowym, zasypuje żywcem i miele wszystko co na polu żyje. Dotyczy to milionów hektarów, miliardów zwierząt. Ale jakoś nikogo to nie wzrusza, bo tak już „musi być”. Jedząc chleb powinniśmy może i o tym pamiętać?

Na drogach przechodzących lub graniczących z Trójmiejskim Parkiem Krajobrazowym, w kolizjach z samochodami corocznie ginie kilkaset dużych i średnich zwierząt, mniej więcej tyle ile odstrzeliwują tam myśliwi. Przy okazji ginie kilka osób, a kilkanaście odnosi rany. Ale nikt z tego nie robi „kwestii”, bo przecież ludzie muszą dojechać do pracy, po zakupy i nad morze. I to najlepiej szybko. Spodziewać się więc można raczej postulatu, żeby wreszcie „ktoś coś” z tymi zwierzętami zrobił!

Każde zabijanie jest traumatyczne, szczególnie dla ofiary. W „tradycyjnym” zabijaniu, choć odrobinę traumy ofiary przejmował jednak zabójca. Za zjedzenie zwierzęcia płaciło się koniecznością jego własnoręcznego uśmiercenia, wypatroszenia, poćwiartowania lub przynajmniej świadomości, że ktoś to obok, całkiem blisko, robi. Dziś, w warunkach współczesnej cywilizacji, to wszystko też się dzieje, ale gdzieś tam daleko, samo, bez naszego udziału i świadomego przyzwolenia. My jesteśmy poza tym. Obawiam się bardzo tej „nowej etyki”, sytuacji w której zaśniemy spokojnie w swoich zacisznych domkach, otoczonych sterylnymi trawnikami, niepokojeni żadnymi strzałami o zmierzchu. I będziemy śnić o rosnących nocą w ciszy na sklepowych półkach szynkach, parówkach i mielonych. Zjemy je, a potem zasiądziemy

ze smartfonem, żeby „powalczyć” z zabijaniem.

Chyba, że w międzyczasie kuna przegryzie nam kable w samochodzie, dziki zaczną przychodzić na osiedle, na strychu rozmnożą się myszy, kret przeryje pracowicie pielęgnowany ogródek, a ślimaki zjedzą peonie. Tu nasza tolerancja się kończy, a zabijanie zaczyna być oczywistą koniecznością. Choć też nie tak bezpośrednio, najlepiej jeśli zrobi to ktoś, za pomocą „jakiegoś proszku”, „załatwi sprawę”, bez potrzeby patrzenia konającemu zwierzęciu w oczy.

Nie bronię „braci myśliwych”. To nie moi bracia. Ich buta, arogancja i wszechwładza budzą we mnie odczucia dalekie od sympatii, operetkowe stroje i feudalno-klerykalne rytuały najzwyczajniej śmieszą. Nigdy nie polowałem i w polowaniu nie uczestniczyłem. Nie potrafię pojąć, jak mając psa, a większość myśliwych je ma, można strzelić do wilka, lisa czy jenota. Wreszcie wkurza mnie, delikatnie mówiąc, że chodząc o zmierzchu lub o świcie po lesie, narażam się na pomylenie z dzikiem, mimo, że ani trochę go nie przypominam. Muszę chodzić z latarką, zachowywać się głośno, co po prostu przeszkadza mi „w pracy”.

Jednocześnie jednak, mimo wieloletnich starań, nie potrafię zdecydowanie utożsamić się z drugą stroną sporu, autorami radykalnych i pełnych „świętego oburzenia” opinii, wygłaszanych prawie zawsze z ekologicznych wyżyn moralnej nieskazitelnosci. Bo na czym polega fenomen, że myśliwy wzbudza tyle emocji, a już np. wędkarz (jest ich 20 razy więcej), wyciągający przez godzinę z wody „waleczną” rybę z haczykiem wbitym we wnętrzności, a potem targający ją do



Wędkarstwo to relaks, ciągle postrzegamy je z sympatią.

Tymczasem wiele wskazuje na to, że ryba, a nawet robak, jednak czują. Fot. Andrzej Jermaczek

domu bez wody, dogorywającą, jakoś zupełnie nikogo nie oburza. Nikt nie kwestionuje wędkowania w parkach narodowych, a także (!) zabierania „na ryby” dzieci. No wiem, „ryba nie czuje”, wędkarze są generalnie sympatyczni, nieszkodliwi, siedzą cicho, bez huku wystrzałów, trąbek, mszy i pokotów, i nikomu nie wadzą. Jeśli jednak chodzi o samo zabijanie, to jest w tym wszystkim jakaś niekonsekwencja, której mój przeciętnie pragmatyczny umysł, nie może rozsypać.

Ze współczesnym, coraz powszechniejszym stosunkiem do zabijania, jest trochę tak jak z samochodami elektrycznymi. Prąd do nich wytwarza się gdzieś daleko, nie widzimy dymiących kominów

czy przegradzanych tamami rzek. Nasz samochód nie ma rury z której dymi, możemy więc jeździć do woli, z poczuciem ekoetycznej wyższości. My nie zabijamy, nawet muchy! I ja w to wierzę. Jeśli jednak jemy mięso „produkowane” w warunkach współczesnych ferm, o których istnieniu i zasadach funkcjonowania przecież wszyscy doskonale wiemy, choć niezwykle łatwo zapominamy, naprawdę nie mamy żadnych podstaw czuć wyższości nad kimś kto zabija własnoręcznie.

Odkryłem, ze zdziwieniem, że w jakimś sensie doceniam, tak należałoby to chyba określić, lepszego słowa nie znajduję, tych którzy robią „to” osobiście. Paradoksalnie, przy milionie zastrzeżeń, które można by tu zawrzeć, w jakiś sposób przybliży ich to do



natury, w której nikt nikogo w zabijaniu nie wyręcza. A w każdym razie do owego „prostego życia”, za którym tak często wszyscy tęsknie wzdychamy. Jego nieodłącznym elementem, o którym próbujemy nie pamiętać, było przecież zabijanie.

A jeśli naprawdę nie zabijacie, i z tego powodu uważacie się za lepszych, to może tylko macie trochę szczęścia? Istnieją poważne teorie głoszące, że każdy z nas, gdyby urodził się i co najważniejsze wychował, w innym miejscu i czasie, w innej rodzinie i towarzystwie, przeczytał inne książki, mógłby zostać faszystą, nadzorcą niewolników, gangsterem, myśliwym, wędkarzem albo świętym. Są też oczywiście przykłady nagłych nawróceń.

Tak naprawdę zabijania większości zwierząt, tysięcy nie ujętych w paragrafach gatunków, nie zakazuje prawo - nie podlegają przecież ochronie. Ani żadna religia - wszelkiego rodzaju kapłani takie sprawy mają głęboko gdzieś. Przed rozdeptaniem ślimaka, myszy czy oberwaniem skrzydełek musze, powstrzymuje mnie jedynie „prawo moralne we mnie”. Ustanowiłem je sobie sam, z pomocą myśli tych wszystkich ludzi, z którymi się w życiu zetknąłem, których słuchałem, których teksty czytałem. Ale inni czytali inne książki i mieli innych nauczycieli.

Pierwotny tytuł tego tekstu brzmiał „Krótki tekst o zabijaniu”, ale temat jest bardzo szeroki, i tekst zrobił się długi. Ile by o tym nie pisać i tak pozostaje poczucie ślizgania się po powierzchni, więc zdecydowanie czas kończyć. Powiecie, że całe to pisanie to czysty relatywizm. Tak. Ja się go nie wypieram. Po prostu, patrząc na otaczający mnie świat, zawłaszczany coraz bardziej przez ludzi przekonanych o swojej jedynie słusznej racji, z dwojga złego wybieram relatywizm.

Zabijanie to cierpienie, a cierpienie to zło. Napisano o tym niezliczoną ilość artykułów i książek, prezentujących problem z obu stron barykady. Stosunek do zabijania to bardzo trudna sprawa, osobisty, etyczny wybór każdego. Każdy ma też prawo do własnych poglądów i walki o nie. Jednak zabierając głos w sprawie wyborów innych, oburzając się na ich postawy, warto zastanowić się czy sami na pewno jesteście tacy święci? Czy aby nie jest tak, że za nas robi „to” ktoś inny, a „nasze zabijanie jest lepsze od ich zabijania”? Zawsze i wszędzie aktualny pozostaje cytat z niemodnego jakoś ostatnio klasyka, który przecież wcale nie był relatywistą - *kto z was jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień!*

Andrzej Jermaczek